

Przypadkowe spotkanie nieprzypadkowego człowieka

Żartobliwe oberwacje cywila nt. dowodzenia

Chile. Andy. Wysokość ok. 4000 m. n.p.m. Szosa z miasta Arica wspina się serpentyną w stronę granicy z Boliwią, by około 80 kilometrów dalej minąć przepięknie położone jezioro Chungará. Wtem, prowadząc motocykl przez kolejny z zakrętów, widzę grupę żołnierzy. Stop! Takiej okazji do zdjęcia grupowego przepuścić nie wolno.

Cały oddział, pod dowództwem młodego porucznika, patroluje teren przygraniczny. Żołnierze prowadzą ze sobą psa. Porucznik opiekuje się dziewiątką podkomendnych. Ich młody wiek i zachowanie kazało mi domniamać, że musi to być jeden z ich pierwszych patroli. Dlaczego napisałem „opiekuje się”, a nie „dowodzi”? Właśnie o tym jest ten krótki tekst.

Porucznik przejął kontrolę nad sytuacją, gdy tylko zeskoczyłem z motocykla. Rozstawił ludzi po jednej stronie, a mnie po drugiej. Przeszedł na angielski, mimo tego, że mój hiszpański był wystarczająco komunikatywny. Zaczął przekładać dla swoich podwładnych moją autoprezentację. Z punktu widzenia cywila wszedł w rolę pośrednika „obsługującego” przekaz. Ale było zupełnie inaczej – on mnie przesłuchiwał. Dzięki decyzji przejścia na język angielski został też dla swoich podkomendnych jedynym źródłem informacji o mnie. Jeśli chłopaki cokolwiek o mnie się dowiedzieli, to tylko poprzez niego. I tak ma być.



Po przesłuchaniu nadszedł czas na wymianę pamiątek. Wyciągnąłem kilka polskich i tajwańskich naszywek oraz nasze polskie przedwojenne monety. Tu również wszystko przebiegło w rytm zarządzeń porucznika: „Ty! Daj mu swoją naszywkę”, powiedział jednemu. „Ty! Masz jakąś monetę? Daj mu”, powiedział drugiemu. Widzicie już wzorzec? Wszystkie transakcje, interakcje i relacje ze światem zewnętrznym były pod kontrolą dowódcy. I tak ma być.

Trzecim aktem spotkania było zdjęcie grupowe. Zgadnijcie, kto musiał je zrobić. Zgadliście. Ale porucznik był mistrzem – a swój ostateczny ruch wykonał na koniec. Gdy pakowałem majdan wyrzucony z plecaka przy poszukiwaniu woreczka z pamiątkami, ucapił mnie za ramię, kazał wyciągnąć dłoń i ulokował w niej swój epolet porucznika, świeżo zdjęty z ramienia.

I tak zostawił na poboczu górskiej drogi, z niewyrównaną wymianą. Stąd drugie łatwe pytanie: komu kibicuję, gdy Chile gra z jakimś innym krajem? To łatwe. Krajanom porucznika i jego podkomendnych. Jak by to skomentował porucznik? Prosto. Powiedziałyby: „I tak miało być”. ■